



„Klub miłośników filmu MISJA” - RECENZJE

Antrakt poleca - "Klub Miłośników filmu Misja"

Najnowsza premiera Teatru Łąźnia Nowa to produkcja w naprawdę hollywoodzkim stylu! "Klub miłośników filmów MISJA" widział zespół Antraktu. Jakie wrażenia? Przekonajcie się sami!

Tytułowym filmem MISJA jest produkcja Rolanda Jaffe z 1986 roku. Opowieść o misjach jezuickich prowadzonych na terenach amazońskich dżungli. Ojciec Gabriel przy pomocy nowo nawróconego handlarza niewolników Rodrigo Mendozy, stara się uratować swoje dzieło przed agresywnymi planami Portugalii, która odkupiła tę kolonię od Hiszpanów. Fabuła filmu to tylko podstawa przedstawienia. Wszystkie te informacje podaje zaraz na początku spektaklu jeden z występujących aktorów.

Przygoda ze spektaklem „Klub miłośników filmu MISJA” zaczyna się już przy wyborze miejsc. Stali widzowie teatru Łąźnia Nowa są przyzwyczajeni do braku numerowanych krzeseł, jednak tym razem wybór nie ogranicza się tylko do rzędu, ale też do miejsca w całej przestrzeni, która jest zaaranżowana w nietypowy sposób. Tylne rzędy to krzesła, z przodu stoją pufy, można usiąść po prostu na podłodze. Rozplanowanie Sali jest niesamowite! Praktycznie z każdego punktu widowni widać miejsce gry. Celowo określam w ten sposób przestrzeń, w której rozgrywa się akcja, bo nie ma tutaj sceny samej w sobie. Aktorzy grają wszędzie. Publiczność siedzi wyżej niż oni. Pod sufitem zawieszony jest zielony, maskujący

materiał. Na środku leży wysypany piasek. Jesteśmy więc w dziczy. Aktorzy, od początku obecni na sali, bawią się w gry. Jeśli mamy ochotę, możemy do nich dołączyć. Jeśli nie – możemy po prostu rozłożyć się wygodnie i czekać na rozwój akcji.

Publiczność jest ustawiona po stronie „dzikich”. Nie dość, że programowo mamy poczuć się komfortowo i możemy wyjść na scenę, to jeszcze aktorzy grają improwizowane scenki wśród widzów. Mówią tak cicho, że słyszą ich tylko najbliższe siedzące osoby. Jedna z Indianek zaprasza nas do gry, Rodrigo Mendoza próbuje przekonać nas do zostania niewolnikami, kardynał Altomirano tłumaczy, dlaczego jezuici zgadzają się na politykę Hiszpanii i Portugalii. W scenie zeznawania przed trybunałem, Indianie zamieniają się dosłownie w mieszkańców Nowej Huty – skarżą się na niską rentę, problemy finansowe, absurdy systemu prawnego.

To nie sama fabuła jest w spektaklu najważniejsza, ale wytworzenie specyficznej relacji aktorów z publicznością. Stajemy się częścią rozgrywanego performansu.. Na tą sytuację pracuje również fakt, że na scenie występują nie tylko profesjonalni aktorzy, ale także amatorzy i studenci szkół teatralnych. Spektakl jest mocno interakcyjny, ale wszystkie zagrania do publiczności nie są krępujące, raczej delikatne i intrygujące.

W inscenizacji Szydłowskiego jesteśmy dzikimi dżungli miasta. To o nas walczą politycy i przywódcy religijni. I też staramy się utrzymać wolność i niezależność. Indianie w filmie płacą za to życiem. A my?

Izabela Zawadzka
Radio ELORMF

Sensoryczna uczta dla każdego, czyli „Klub Miłośników Filmu Misja” w Łażni Nowej

Wchodzisz do innego świata. Pełnego dźwięków, ciemnego, mrocznego, ale jednak przyjaznego. Otaczają cię ludzie, oplata gąszcz nieznannej dżungli. Najpierw się dziwisz, skupiasz z całych sił starając się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Wpatrujesz się w aktorów-amatorów odgrywających rolę Indian, spijasz każde słowo z ust czołowych bohaterów. Wytężasz słuch, wyostrasz wzrok i włączasz myślenie. Nie bój się ten stan nie potrwa długo. Teraz jesteś wśród nich. Jesteś jednym z nich. Jesteś w samym sercu dżungli i nagle zaczynasz rozumieć, aż nadto boleśnie, że to także twój świat... „Klub Miłośników Filmu Misja” w reżyserii Bartosza Szydłowskiego to nie klasyczny spektakl, ale interaktywna gra. Stworzony na podstawie filmu Rolanda Joffe „Misja” z 1986 roku projekt osacza, zadziwia i w pełni angażuje widzów.

Spektakl po części zasadza się na fabule filmu. Jezuici przybywają do Ameryki Południowej gdzie wśród Indian Guarani zakładają misję. Jej celem jest szerzenie wiary chrześcijańskiej wśród tubylczego ludu. Przywódcą misji jest Ojciec Gabriel, a niebawem dołącza do niej również nawrócony handlarz niewolników Rodrigo Mendoza. Chcąc pogodzić interesy Hiszpanii i Portugalii na misję przybywa Kardynał Altamirano (Jan Peszek). Duchowny

spotyka się z Indianami, ale mimo wszystko nakazuje zlikwidować misję, bo decyzje już zostały podjęte nim nawet wyruszył w podróż. Choć na moment zatapia się w szczerej, naturalnej dobroci tubylców i tak jego decyzja jest ostateczna. Misja nie może przetrwać. Jezuici będą musieli wrócić skąd przybyli, a Indianie odejdą z powrotem do dżungli. Ojciec Gabriel (Krzysztof Zarzecki) i Rodrigo Mendoza (Radosław Krzyżowski) nie oddadzą jednak misji tak łatwo.

Ktoś mógłby zapytać, co ma piernik do wiatraka? Co łączy XVIII – wieczną kolonialną Amerykę Południową i aktualną sytuację w Polsce? Spektakl Bartosza Szydlowskiego wskazuje jednak jak bardzo aktualny wydzźwięk ma „Misja”. Co dziś jest ważniejsze? Ludzie, czy pieniądze, władza i kontakty? Zupełnie jak w świecie Indian, których kładzie się na szali naprzeciw dominacji i majątku. Wokół nas funkcjonuje chory system, podobny przecież do tego, który początkowo wyrwał Indian z lasu, aby za chwilę nakazać im do niego wracać. Oni nie mogli tego pojąć, tak jak my coraz częściej nie rozumiemy, co dzieje się wokół nas. Ustawy, które rujną nasze i tak nieźle pogmatwane życie, które są pełnym zaprzeczeniem praw ustanowionych przecież tak niedawno. Nam też serwuje się obietnice, które po chwili można ot tak po prostu odwołać. Z kaprysu.

Dziś ciężka praca i chęć życia w zgodzie z otoczeniem i swoim sumieniem może przynieść jedynie satysfakcję duchową, ale nią człowiek się nie naje. Pęd za pieniędzmi, pracą i dobrami materialnymi sprawia, że wszystkie chwytaki są dozwolone. Można dawać i odbierać. W zależności od tego, kto da więcej i co się bardziej oplaca...

Reżyser Bartosz Szydlowski nie poprzestał na dosłownym odwzorowaniu treści filmu. Była ona dla niego jedynie fundamentem, na którym wzniósł gmach ludzkich problemów. Ta przestrzeń nie jest dosłowna, tak jak umowna jest dżungla, w której znaleźli się widzowie „Klubu Miłośników Filmu Misja”. Lecz mimo tego można się w niej zagubić i zatracić by odnaleźć na nowo sens i chęć do życia.

Świat zbudowany na scenie Łaźni Nowej to trójstopniowa kondygnacja symboli. Na podium znajdują się ci, którzy podejmują decyzję, obserwując świat zza przezroczystej kotary. Pociągają za sznurki sterując bezwiednymi marionetkami. Decyzje zapadają, choć kukiełki nadal walczą myśląc, że ich wysiłki są w stanie zmienić odgórnie zaplanowaną rzeczywistość... Po środku znajduje się osada. Jezuici i Indianie, którzy im zaufali. Są pomiędzy naturą, a cywilizacją. Wybrali, ale nagle okazuje się, że już nie mają prawa wyboru. Ostatnią przestrzeń tworzą ci, których usiłuje się zwabić marchewką. Dzicy, nieufni i najbardziej oddaleni od toczących się za ich plecami porachunków. Widzowie w roli tubylców. Bojaźliwi, bierni nie dający się skusić nawet na sałatkę... To my jesteśmy niczym tubylcy, którzy nic nie wiedzą i nie rozumieją, bo przecież nie muszą. Powinni być posłuszni bezwarunkowo, słuchać i dostosowywać się do tego, czego od nich oczekują. Nowe zmiany, nowe rządy, nowa polityka. Tylko my jesteśmy ci sami, ale o to nikt nie pyta...

Oglądamy przebieg sytuacji za przezroczystą kotarą zupełnie tak jak decyzje, które ktoś podejmuje za nas, a które my widzimy na ekranie swoich telewizorów. Jesteśmy bezradni. Hasła wyborcze krzyczą z billboardów niczym fragmenty spektaklu na telebimach. Są ze wszystkich stron, wdzierają się w naszą świadomość. Ktoś nawołuje, nakłania, zachęca. Ciężko się odnaleźć, trudno skupić, niełatwo rozumieć. Zupełnie jak w naszym codziennym życiu... Bo każdy z nas chyba żyje w swojej prywatnej dżungli, w której chciałby zaznać

spokoju, a która ciągle bombardowana jest informacjami z zewnątrz od których nie sposób uciec... Świat skolonizował nasze osobiste azyle. Wyszliśmy z dżungli naszego wnętrza, obnażyliśmy siebie, by wkroczyć na ścieżkę cywilizowanego, ale czy to na pewno oznacza lepszego życia?

Spektakl postawił przede mną jeszcze jedno pytanie: Czy są jeszcze ludzie, którzy dziś nie boją się i nie wstydzą walczyć o swoje ideały? Czy mamy do czynienia jedynie z grupą konformistów, którzy nie chcą wyłamywać się z szeregu woląc przyznać rację tłumowi?

Co osiągnęli Gabriel i Mendoza? Przegrali. Przegrali misję, ale zyskali wiele w oczach tych, z którymi ramię w ramię poszli na śmierć. Jak rzekł kardynał: „Tak więc, wasza Świętobliwość, twój księża nie żyją, ja zaś pozostałem przy życiu. Lecz tak naprawdę, to ja umarłem, a oni żyją, bowiem jak zawsze, duch zmarłych przetrwa w pamięci żyjących.” Tak naprawdę więc wygrali...

Co osiągnął Bartosz Szydłowski? Myślę, że dzięki takim przedsięwzięciom, które swoją formą, reżyserską interpretacją i oryginalnością wybijają się ponad grom klasycznych, schematycznych spektakli jest na dobrej drodze do utrwalenia się w pamięci żyjących. Przytaczając słowa Horacego dzięki takim realizacjom Bartosz Szydłowski buduje pomnik trwalszy niż ze spiżu, a w nowohuckim kontekście Łaźni, można by rzec: trwalszy niż pomnik Lenina przy Placu Centralnym...

Marzena Rogozik
Kulturatka.pl

I ty zostaniesz Indianinem

«Scena Łaźni Nowej została tym razem zmieniona w terrarium. Nad głowami widzów i aktorów wisi maskująca siatka, z sufitu spływają folie, przestrzeń gry posypano piaskiem.

Na sali gorąco. Jesteśmy gdzieś w Ameryce Południowej, a jednocześnie ani na krok nie ruszamy się z osiedlowego domu kultury, gdzie grupa emerytów i młodzieży stworzyła niezwykłą wspólnotę. Nie wiadomo dokładnie, czy to komuna, czy sekta, czy tylko wielopokoleniowy squat. Można się tylko domyślać, od czego to wszystko się zaczęło: od warsztatów capoeira, prób chóru, modlitwy kółka różańcowego czy projekcji kultowych filmów?

Założmy, że jeden film został z członkami tej dziwnej wspólnoty na dłużej i że była to słynna "Misja" Rolanda Joffe z pamiętnymi rolami de Niro i Ironsa. I teraz seniorzy i młodziaki z Nowej Huty odgrywają najlepsze sceny. Udują, że są Indianami Guarani, twierdzą, że zostali zmuszeni do duchowego przesiedlenia, że nie nadążają za wyścigiem szczurów, że rozczarowali się życiem i światem. Tworzą więc pośrodku miejskiej dżungli azyl - królestwo dobra i idealizmu. Przewodzi im Gabriel (Krzysztof Zarzecki), ksiądz, zafascynowany teologią wyzwolenia, pragnący powrotu do doktryny pierwszych chrześcijan ("wszystko dzielimy po równo"). Jezuici z "Misji" stają się w spektaklu wyreżyserowanym przez Bartosza Szydłowskiego rewolucjonistami i anarchistami. Gabriel naucza, że nie powinniśmy

przyjmować rozkazów od nikogo. Mówi: "Człowiek nie powinien szukać swojego zbawienia tylko w tym, co nieskończone, ale powinien walczyć o sprawiedliwe i piękne niebo na ziemi".

Przedstawienie jest bardzo dobrze obsadzone: nikt tu nie naśladowuje ról Ironsa czy de Niro. Liczy się osobista charyzma krakowskich aktorów. Zarzecki potwierdza tu swój image aktora niepokornego, natchnionego, wypełnionego zdumiewającą energią i światłem. Radek Krzyżowski, który gra nawróconego najemnika Mendozę, zaczyna dynamicznie, szeroko, głośno, by potem po przemianie duchowej jeszcze bardziej przykuwać naszą uwagę wyciszeniem swojej postaci.

Szydłowski cały czas na dwóch ekranach pokazuje nam fragmenty filmu Joffe albo inscenizowane sekwencje rozgrywane w zakamarkach Łaźni. Scena kościelno-politycznej debaty o przyszłości jezuickiej enklawy (najlepsza w spektaklu) jest grana na pustej widowni za przezroczystymi zasłonami. Widzimy tylko sylwetki bohaterów, dopiero dzięki zbliżeniom kamer możemy zajrzeć w ich twarze.

Reżyser jest eklektykiem: sięga po kilka teatralnych konwencji, amatorzy tworzą sceniczną komitwę z aktorami zawodowymi, zestawia się sceny symboliczne z multimedialnymi. Szydłowski coś podpatrzy u Garbaczewskiego, Zadary, Górnickiej i przetwarza to po swojemu. Jakby sklejał swój teatr z poobcinanych skrawków form i idei, ale tak, by nie pozwolić "cudzemu" wybrzmieć, przemienić się w cytaty. Osiemnastowieczny kostium, jaki noszą "źli" bohaterowie, świadomie kłóci się w spektaklu ze współczesnymi realiami. Dlatego tak zabawnie wypada relacja z podróży kardynała Altomirano (Jan Peszek) wiezionego rikszo-lektyką po nowohuckich ulicach. Pojedynek braci Mendoza o kobietę (jak zwykle intrygująca Wiktoria Kulaszewska) zainscenizowano jak corridę, indiańskich niewolników przyprawdzanych do faktorii Cabesy (Krzysztof Głuchowski) kusi się rockowym hałasem na dwie gitary i perkusję.

Przebieg fabularny przedstawienia odtwarza dokładnie to, co opowiedziano nam w filmie. Kardynał likwiduje misję, Guarani, Gabriel i Mendoza zginą. W finale mówi Altomirano: "Księża nie żyją, ja zaś pozostałem przy życiu. Lecz tak naprawdę, to ja umarłem, a oni żyją. Czy ktoś mógłby mnie dobić?".

Spektakl jest zwięzły, trwa tylko półtorej godziny i celowo nie pozwala nam rozgościć się dłużej w świecie współczesnych Guarani. Może dlatego, byśmy nie uwierzyli w ten cud. "Misja" Joffe była filmem o końcu Utopii, na którą nie ma miejsca w świecie polityki i ideologii. Przedstawienie w Nowej Hucie byłoby raczej o klęsce uczciwości. Nie da się być równocześnie artystą i głosicielem prawdy. Nie da się robić teatru i naprawiać człowieka. Teatr jest tylko fałszywym, fikcyjnym azylem, nie można od niego zacząć budowy nowego ładu. Bo nawet kiedy opowiada o pięknej idei, w naturalnym odruchu sięga po efekt ironii.

Szydłowski streszcza "Misję" jak ktoś, kto chce w coś wierzyć, ale wie, że to nieprawda. W nowej premierze Łaźni zabrakło mi właściwie tylko intymnych opowieści aktorów amatorów o tym, czy naprawdę ten film jest dla nich ważny i jak go rozumieją. Mogliby się tym podzielić z nami w zaordynowanym przez reżysera scenicznym intermedium zamiast częstować podejrzaną, robioną brudnymi rękami (po kontakcie z piachem i szmatami!) sałatką warzywną. Nie tylko ja się czepiam tej sceny, sanepid też mógłby...»

Misja: Samowola utopijna

Smakuje surówka? Nie?! Trzeba było poprzestać na samej marchewce. Albo pomóc w przygotowywaniu posiłku. W siermiężnych warunkach misji każda pomoc na wagę złota. Pod warunkiem, że jest się w stanie przejść na drugą stronę. Opuścić widownię i być częścią spektaklu. Pójść za ojcem Gabrielem w umowną dżunglę pomiędzy nie mniej umownych Guaran. Nawróconych Indian, których wcześniej mijano się w pośpiechu na ulicy. Teraz nie można ich już zbyć. W nowej inscenizacji Łaźni Nowej są bowiem solą ziemi, ale i duchowym tworzywem. Tkanką społeczności, którą na deskach teatru udało się wykreować. Na kilka godzin, tygodni, a może i miesięcy?

Nowy spektakl Bartosza Szydłowskiego trawestuje głośny film o jezuickiej misji, ale też sama Łaźnia Nowa jawi się przyczółkiem niematerialnego posłannictwa. Dyrektor Szydłowski, przeprowadzając swój teatr do Nowej Huty uczynił z niego coś więcej niż alternatywną scenę. To artystyczna osada na gołej, choć żyznej ziemi, gdzie prócz idei liczy się praca u podstaw. Wyjście poza czysto teatralny abstrakt. "Klub Miłośników Filmu Misja" jest zatem bardziej społecznikowskim projektem niż spektaklem w sensie stricte. To co szczególnie istotne, odbywa się podczas zbiorowej pracy nad przedstawieniem. A potem na widowni, która musi określić postawę wobec scenicznego eksperymentu.

Film Rolanda Joffe opowiadał o brutalnym starciu społecznej utopii z instytucjonalną przemocą. U Szydłowskiego konflikt na linii jezuicka misja - kościelne interesy, naturalna wspólnota - kolonializm, równość - hierarchia, odsyła do współczesności. Dżungla, którą wizytuje kardynał Altamirano to ulice Nowej Huty, tak jak Indianie są naturszczykami. Szydłowski pozwala przemówić im swoim głosem. Opowiedzieć o odebranej rencie, przymusowej przeprowadzce, presji bycia "trendy". Tu, w ramach misyjnej wspólnoty, mogą wyrazić obywatelski protest. Choć ich sprzeciw pozostanie bez echa. Analogicznie do fabuły filmu, karty zostały już wcześniej rozdane.

Włączenie aktorów- amatorów do spektaklu, nie jest bynajmniej tożsame z tworzeniem sztuki interwencyjnej, doraźnej, publicystycznej. "Misja" Szydłowskiego pozostaje przedsięwzięciem wielopoziomowym. Pichcone z publicznością sałatki czy osobiste przemowy, to tylko jeden z aspektów widowiska. Ten najbardziej ludyczny, zabawowy, mający sprawić, że widz poczuje się jak w prowizorycznej wspólnotce. Najwyraźniej temu służy i maksymalnie poszerzona przestrzeń spektaklu. Pomieszczenia Łaźni Nowej są tym razem swojskim klubem dyskusyjnym oraz gigantyczną scenerią happeningu.

Obok ciągłego burzenia czwartej ściany oraz interakcji z publicznością, teatralna "Misja" wsłuchuje się w przekaz filmowego pierwowzoru. Tekst Jolanty Janiczak dość wiernie odtwarza zarys fabuły oraz jej wymowę. Między sobą przecinają się drogi pacyfisty Gabriela i bojowniczego Mendozy. Stworzona z tubylcami komitywa napotyka na opór świata, regulowanego przez pieniądze, interesy, systemy polityczne.

Zaskakujące, jak owocna dzisiaj okazuje się tematyka filmu Joffe. Widmo kolonializmu, które wisi nad tytułową misją, można swobodnie podmienić na rozmaite cywilizacyjne opresje; konsumpcjonizm, globalizację, kulturę masową, wszelkiego rodzaju snobizmy i mody. Nie dziwi zatem, iż w scenicznych monologach Mendosy powraca Korpo- koszmar: praca dla pracy, tymczasowość, zmienność.

Przeciwwagą dla terroru codzienności ma być duchowość Gabriela. Lecz u Szydłowskiego i ona niesie ze sobą pewne rozczarowanie. Jakie bowiem intencje kierują jezuitą? Czy jego rzeźbienie w dziewiczych duszyczkach nie jest motywowane poczuciem wyższości? Pycha Europejczyka, który również podbija i anektuje obcą ziemię, przerabiając ją na własną modłę? Znany z filmu finał staje się tragiczną kapitulacją ideałów. Indianie nie osiągną nieśmiertelnością za sprawą szczytnych haseł, lecz oporu; biernego lub czynnego. Buntu, do którego wzywa niemający złudzeń Mendoza. Złudzeń nie posiada również kardynał Altamirano - duchowny z wyrachowania, a nie powołania. Hierarcha, który wydaje owieczki na pewną śmierć.

Łaźnia Nowa gościła już na swoich deskach najbardziej głośnie, kontrowersyjne i nowatorskie spektakle z całej Polski. Szydłowski w swoim reżyserskim dziele, dokonuje swoistej kondensacji środków wyrazu, znanych z rodzimych scen. Ekstazyka tańca, śpiewu i ruchu, sekwencje z wizyjną symboliką, zgiełk rockowego recitalu, wideo- projekcje, wreszcie wspomniane wejście między publiczność. Transgresja Kleczewskiej, multimedialność Garbaczewskiego, zadziorność duetu Demirski- Strzępka. W tym remiksowaniu struktury spektaklu, nie chodzi aczkolwiek o wtórne zapożyczenia. Raczej o dostosowywanie kolejnych etapów widowiska do różnych języków współczesnego teatru.

Sceniczna symulacja jezuickiej misji bazuje nie tylko na formalnych zabiegach, ale i sugestywnym aktorstwie. Pośród naturšczyków Szydłowski "ukrył" Jana Peszka, Krzysztofa Zarzeckiego i Radosława Krzyżowskiego. Wszyscy trzej doskonale dostosowują grę do warunków przedsięwzięcia. Wymagającego bardziej intuicji niż mimicznych i oratorskich popisów.

Szczególne zadanie otrzymał w spektaklu Krzyżowski. Jako Mendoza, już przy wejściu zaczepia widzów, szuka sojuszników, przekonuje do swoich racji, by potem, dosłownie i w przenośni, zostać obnażonym. A także serwować sałatkę.

Sałatka jest mało smaczna. Nikt jednak nie spodziewa się tu frykasów. Tu, w ramach spółdzielni świeżo zawiązanej, lecz skazanej na zagładę. Po niecałych dwóch godzinach, pozostają puste talerzyki i trawiona w żołądku marchewka. Trzeba opuścić plac budowy utopii. Zanim ktoś znowu uzna ją za samowolę. I cofnie pozwolenie.

"Misja: Samowola utopijna"

Łukasz Badula

kulturaonline.pl/24.05

Peszek gra z amatorami

"Klub Miłośników Filmu »Misja«" to powrót do teatru wspólnotowego

Jan Peszek w barokowej peruce i wykwintnym kardynalskim kostiumie jako Altaramino jedzie współczesną riksą przez nowohuckie osiedle, krzywiąc się na widok socrealistycznych bloków i zatykając nos jedwabną chusteczką.

W tej scenie w Łażni Nowej zbiegają się wszystkie wątki najnowszego spektaklu Bartosza Szydłowskiego. Mamy motyw słynnego filmu „Misja” Rolanda Joffe’a o jezuitach w Ameryce Łacińskiej z udziałem Roberta De Niro i Jeremy Ironsa z muzyką Ennio Morricone. Jest tu też problem religijności i kapitalizmu we współczesnej Polsce, a także spotkanie gwiazd polskiego teatru z amatorami związanymi z nowohucką Łażnią Nową.

Najbardziej drapieżne są wątki misji prowadzonej w amazońskiej puszczy przez jezuitów razem z Indianami. Spełnia ona ideał chrześcijańskiej sprawiedliwości, a mimo to skazana jest na zagładę.

Nie trzeba było wielu zabiegów, by amatorzy z Nowej Huty nadali amazońskim Indianom rys mieszkańców robotniczej dzielnicy. W czasie solidarnościowego przełomu mieli prawo liczyć na godziwe życie w swojej małej ojczyźnie, wywalczonej z pomocą katolickich księży. Dziś mówią o tym, że ich marzenia legły w gruzach, bo polscy kapitaliści okazali się bezwzględni, a wielu duchownych troszczy się głównie o siebie.

Mogą więc liczyć jedynie na teatr. Tylko tu można wykrzyknąć skargi na ZUS i cynicznych lekarzy. Poznajemy historię odebrania komunalnego mieszkania i zniszczenia dorobku życia. Chwilę ulgi przynoszą sceny zbiorowego śpiewu przywracającego poczucie harmonii.

Od początku spektaklu na drugim planie buszuje wśród widowni Radosław Krzyżowski. Gra filmowego łowcę niewolników Mendozę, ale i dzisiejszego kapitalistę. Kusi wizją szczęścia korporacyjnego, czyli harówy od rana do wieczora z chwilą weekendowego zapomnienia.

Zaczerpnięta z filmu scena, w której Mendoza morduje brata, pożądamy jego żony, jest najmniej udana i chaotyczna. Ale owocuje przemianą postaci i spektakl zaczyna pulsować relaksująco w rytm etnicznych dźwięków, odgłosów dżungli, napełniając duchem wolności sekwencje o utopijnej wspólnotcie. Amatorzy i aktorzy cieszą się życiem, przygotowują sałatki, jedząc je wspólnie z widzami. Idylla. Radosław Krzyżowski czyta „Pieśń nad pieśniami” i widzimy, jak aktor przeżywa artystyczne oczyszczenie. Dosłownie, bo amatorki zmywają z obnażonego ciała kurz akademickich spektakli.

Jan Peszek, który jako kardynał, ale i teatralna gwiazda, zajada się ostrygami oraz pospiesza grę amatorów, wypominając im, że minuta jego czasu antenowego jest droga. Zrzuca kardynalski kostium, podskakując i tańcząc, dokazuje z amatorami jak dziecko. Pozory równości zabija zdanie jednego z naturšczyków: jesteś pustą formą, jesteś przetrawiony kompromisami. Wypowiedziane zostało do kardynała, a jednocześnie i do aktora. Budzi ušpioną pychę, która jest grzechem głównym niszczącym poczucie równości i szacunek dla innych.

W kapitalizmie każdy musi być najlepszy. Utopia jest możliwa tylko w teatrze.

Jacek Cieślak

Rzeczpospolita

Sztuka gniewu

Nowohucki „Klub miłośników filmu «Misja»” to niepowtarzalna szansa, by z serca dzielnicy, socjalistycznego eksperymentu, przenieść się na chwilę w dżunglę (post)kolonialnego wyzysku

Spektakl Bartosza Szydłowskiego, według tekstu Jolanty Janiczak, inspirowany jest filmem Rolanda Joffe’a, czego wyrazem są nie tylko projekcje fragmentów tego obrazu i imiona bohaterów, ale i ogólny rys fabularny. Jednak nagrodzony Złotą Palmą film z 1986 roku jest jedynie punktem wyjścia, ramą, nadającą kształt konstrukcji, którą Szydłowski wypełnia treściami autorskimi, o wiele nam bliższymi, bardziej nowohuckimi, i to w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Oglądając spektakl, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że oto uczestniczę w „teatrze naiwnym”. Naiwność ta nie wzbudza mojego sprzeciwu, wręcz przeciwnie. Nie wynika bowiem ani z faktu, że „Klub Miłośników Filmu «Misja»” w znacznej mierze tworzą amatorzy, czy też naturszczycy, głównie mieszkańcy tej krakowskiej dzielnicy, ani z powodu nieco eksperymentalnej, happeningowej formy scenicznego wydarzenia. Naiwność, czy raczej niewinność, objawia i wyraża w tym spektaklu jakąś niespotykaną, urzekającą wiarę w człowieka czy wreszcie w ów śmiały pogląd, że rzeczywistość wciąż jeszcze można zmienić, bo to świat jest naszym wytworem, a nie my wytworem świata.

Małgorzata Szydłowska tworzy tajemniczą i sugestywną przestrzeń piaszczystej tropikalnej oazy, na której rozsiadają się widzowie. Półokrągła przezroczysta ściana z sięgających sufitu płacht sztucznego tworzywa zamyka przestrzeń scenicznego świata. Za nim czai się ciemność. Z dżungli pozostaje stół pełen wielobarwnych owoców, warzyw i ziół oraz sugestywne światło – zielone w scenach życia wspólnoty rozgrywających się tuż obok, lub wręcz pośród widzów, i krwistoczerwone, gdy w pozornie sielski świat misji ingerują siły i zjawiska ponadjednostkowe, gdy w życie „Indian” wkraczają historia, ekonomia, polityka, zinstytucjonalizowane religia, słowem – prawo boskie bądź ludzkie.

Fabula jest w istocie drugorzędna. Podobnie jak historia wewnętrznej przemiany kapitana Mendozy (Radosław Krzyżowski), który w początkach spektaklu, jeszcze w roli handlarza niewolników, próbuje swym pseudobuntowniczym bełkotem pozyskać stronników. Z czasem, w wyniku zawodu miłosnego, staje się jednym z bardziej zagorzałych obrońców jezuickiej wspólnoty będącej oazą, ostatnim brzegiem dla brutalnie kolonizowanych, ekonomicznie wyzyskiwanych „tubylców”.

Okazuje się, że rytuały budujące wspólnotę, w których uczestniczymy, również stanowią spektakl. Gdy zjawi się kardynał Altamirano (w tej roli cudownie przewrotny Jan Peszek), by wraz z dostojnikami rozsądzić spór o prawa do misji, przyjdzie nam zrozumieć własny los. Zasiadają oni bowiem na czerwonych krzesłach widowni, która, jak się okazuje, znajduje się naprzeciw widzów, ukryta w ciemności, za ścianą z plastiku. Jesteśmy na scenie.

I nagle dociera do nas, że my, nowohuccy widzowie, podobnie jak oni, nowohuccy tubylcy, jesteśmy rozgrywani. Wszyscy jesteśmy w tym cyrku „małpami”, stajemy się pionkami w tej grze. Oglądany, podglądany, niczym eksponat w muzeum historii naturalnej, przez dostojnych oficjeli. My, Europejczycy, podglądani przez księcia Świętego Rzymskiego Kościoła Katolickiego oraz ambasadorów potężnych królestw Hiszpanii i Portugalii. Rozgrywani przez system. Oto prowadzony jest przedziwny eksperyment psychospołeczny – na dzikich, dzikich stąd, z Nowej Huty, z Krakowa, z Europy.

Interesujące przemieszczenie, w którym zblazowani reprezentanci roszczących sobie prawa do terytorium misji królestw, choć przyodziani w stroje z epoki płaszcza i szpady, w uprawianym przez siebie dyskursie kupieckim niebezpiecznie, a może groteskowo, przypominają dzisiejszych piewców korporacyjnych dogmatów wolnorynkowego neoliberalizmu.

Zagubionymi tubylcami, a więc nami, „opiekuje się” ojciec Gabriel (w tej roli Krzysztof Zarzecki), dla którego trwanie misji staje się sensem życia, realizacją najważniejszego z boskich przykazań – przykazania miłości bliźniego. Prawdziwym bohaterem spektaklu jest więc wspólnota: pierwotna, utęskniona, utopijna, niezbędna „zwierzęciu stadnemu”, jakim jest człowiek. Jednak czy ta wspólnota dziś, w dobie posthumanizmu niosącego obietnicę upodmiotowienia przekraczającego granicę gatunku ludzkiego, jest jeszcze możliwa? Skoro najszlachetniejsza nawet idea, najtwardszy nawet fundament wspólnoty mieszkańców misji może zostać zakwestionowany ustami Szamana (w tej roli znakomity Mariusz Cichoński, jeden z nowohuckich naturszczyków). A jeśli w istocie nie dorośliśmy do świata, równości, wolności i braterstwa?

Altamirano, choć sam był kiedyś jezuitą i dostrzega rozkład porządku jaki reprezentuje, zasłania się pragmatyzmem. „Trzeba się ubrudzić, sam czuję smród tych reguł, jednak dla dobra wspólnoty potrzeba zgniętego kompromisu” – powiada. W jednej z finałowych scen wyzbywa się na chwilę swego cynizmu, zafascynowany hipisowską wolnością misyjnego kolektywu. Zdaje się zapominać o dławiącej purpurze, emanacji zhierarchizowanej rzeczywistości, którą reprezentuje. Ostatecznie jednak nie zdobywa się na rezygnację ze swej uprzywilejowanej pozycji, transgresja nie następuje.

Choć więc wyniki eksperymentu są ponure, to wciąż jest w tej opowieści coś prawdziwego, autentycznego, coś oczyszczającego – gniew kobiety z przyczyn ekonomicznych wysiedlonej ze śródmieścia, w którym spędziła całe życie i w którym pozostawiła własną opowieść, czy frustracja dziewczyny uwięzionej w psychotycznym dyktacie „samorozwoju”. Ich oburzenie jest szczere, głębokie, a gest niezgody, bunt, choć – jak wszystko w tej opowieści – naiwny, nieporadny, skazany na porażkę, jest choćby i symbolicznym zwycięstwem. Nawet jeśli jego beznadziejność wzbudza radość „czyścicieli kamienie”, którym dziś policja, jak niegdyś najemnik Rodrigo Mendoza, pomaga pozbywać się niechcianych lokatorów.

„To oni wygrali. To ich gest zapamięta świat” – w poczuciu rozczarowania wyzna w ostatnich słowach groteskowy kardynał. Czyżby więc na tym właśnie gniewie ufundowany był ów „wspaniały gmach naszej cywilizacji”?

Indianie walczą w Nowej Hucie

Słyszając, że Bartosz Szydłowski przenosi do teatru "Misję", filmowe arcydzieło Rolanda Joffe'a, trochę się zaniepokoiłem. Komu potrzebna jest rywalizacja z kinem? Widziałem już tyle teatralnych katastrof, których źródłem były wspaniałe filmy, że naprawdę nie potrzebuję kolejnych dowodów na niewspółmierność tych sztuk.

Na szczęście Bartosz Szydłowski znalazł własny pomysł na "Misję". Nie ma mowy o żadnym przełamaniu estetycznym. Nowohucka "Łaźnia" wciąż pozostaje miejscem integracji skrajnych środowisk z wyraźnym zapleczem ideologiczno-edukacyjnym. Praca u podstaw.

Od pierwszych minut widzowie czują się przyszpileni. Żadnej anonimowości - planeta zero jest częścią wspólną. Publiczności, aktorów, statystów, bohaterów filmu i sztuki. Scena została owinięta maskującą siatką, zafoliowana i zabezpieczona. Umowna jest Ameryka Południowa, w której rozgrywała się akcja filmu. To Ameryka przypominająca średniej wielkości miasto w średniej wielkości państwie europejskim. Miasto zarozumiałe, licytujące się wymianianiem dawnych chwał i zasług, po mieszczańsku brzydzące się zapaszkami gorszych dzielnic. I właśnie w takiej dzielnicy publiczność i widzowie udają Indian. Pozostając sobą, aktorami czy cywilami, wychodzą z formy, odnajdują się w obrazie filmowym zamienionym w teatralny i polityczny manifest.

W rozgrywającym się w XVIII wieku pamiętnym filmie Joffe'a według scenariusza Roberta Bolda, jezuita, ojciec Gabriel (Jeremy Irons) budował misję dla Indian Guarani, korzystając z pomocy nawróconego łowcy niewolników (Robert de Niro). Szydłowski przeciwstawił hierarchów wydziedziczonym banitom. Może nawet zbyt łatwo postawiony został znak równości pomiędzy osiemnastowiecznymi "dzikusami", a narzekającą

rencistką albo udręczoną kobietą skazaną na zesłanie w Nowej Hucie - nawet w przybliżeniu ich ucisk nie jest wspólny. Z drugiej strony, kiedy z ekranów oglądamy filmową sekwencję przejazdu kardynała Altamirano riksą (idealnie obsadzony Jan Peszek) po nowohuckich ulicach, wydaje się, że pycha władców jest niezmienna. Nie jest ważne, czy chodzi o kościelnego purpurata czy kierownika okręgowej rady zakładowej. Władza składa się z licznych trybów, dopiero na samym końcu tej drabiny chowa się tak zwany szary człowiek, Indianin bez pióropusza. Można buntować się, nawet głośno krzyczeć, ale rezultat i tak będzie niewielki. Altamirano jest wieczny. I nie musi to być wcale postać z gruntu zła. Peszek ucłowiecza przecież swojego bohatera, pozwala mu na słabość, dodaje perwersji i dowcipu - mimo to maszyna ma działać sprawnie, a altruizm wydaje się największym wykroczeniem. Silniejsi czy bogatsi zawsze wygrywają, słabsi przenoszą się do Nowej Huty.

Tego rodzaju przedsięwzięcia z pograniczu teatru i performance są zawsze ryzykowne. Trudno uchwytna granica kiedy scena staje się politycznym pamfletem albo grubymi nićmi szytym dyskursem wolnorynkowego neoliberalizmu, w "Klubie miłośników filmu MISJA"

nie została przekroczona głównie dzięki bardzo dobrej scenografii oraz imponującej pracy reżysera z aktorami i amatorami (poza Peszkiem dobrze spisał się Radosław Krzyżowski w roli Rodrigo Mendozy, Grzegorz Łukawski - Cabeza, wreszcie od lat nie oglądany w teatrze Krzysztof Głuchowski).

To wprawdzie nie jest mój żywioł estetyczny, a wlokąca się w nieskończoność scena częstowania widzów sałatką przygotowaną live przez nowohuckie erylne niepotrzebnie rozbija energię przedstawienia, trudno jednak nie docenić klasy przedsięwzięcia. Choć sprawiedliwości nie stało się zadość, przynajmniej warknęliśmy.

"Indianie walczą w Nowej Hucie"

Łukasz Maciejewski

Polska Gazeta Krakowska nr 153

03-07-2013

Niedostosowani

Bartosz Szydłowski wykorzystuje "Misję" Rolanda Joffe jako punkt wyjścia do rozmowy o współczesnych Indianach: ludziach wykorzenionych, często agresywnych, niemal zawsze osamotnionych.

Akcja filmu Joffe rozgrywała się w połowie osiemnastego wieku. Jezuita, ojciec Gabriel (Jeremy Irons), w południowoamerykańskiej dżungli budował misję dla Indian. Jego sprzymierzeńcem stał się nawrócony najemnik niewolników Rodrigo Mendoza (De Niro). W momencie gdy Hiszpania sprzedała kolonię Portugalii, jezuici postanowili bronić terytorium przed portugalską agresją. Szydłowski korzysta z ramy narracyjnej filmu dla własnych celów. "Klub miłośników filmu Misja" w nowohuckiej Łażni Nowej jest bowiem kolejnym ogniwem politycznego manifestu tej sceny. Ludzie, którym odebrano godność, mają prawo głośno walczyć o dobre imię. W przedstawieniu w zasadzie nie ma podziału na widzów i artystów. Aktorami są również widzowie - nowohuccy amatorzy zostali zaproszeni przez Szydłowskiego na scenę. Publiczność ogląda zatem akcję przedstawienia nawiązującego scenograficznie do osiemnastowiecznej Ameryki Południowej, ale nowohuccy Indianie to napiętnowani nowych czasów. Ich chrystianizacja polega na dostosowaniu do reguł, których nie chcą i nie potrafią przyjąć. Zastali się w dawnych czasach, nie rozumieją tego, co się wydarzyło po drodze - z nimi samymi i ich krajem. Dlatego krzyczą.

Na tym tle tym donośniej słychać lamentosa postaci fikcyjnych. Ojciec Gabriel w interpretacji Mateusza Janickiego nie ma siły Ironsa, wnosi jednak nieobecne w filmowym pierwowzorze wdzięk i urodę. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Indianie Guarani oraz Indianie z placu Centralnego ruszają właśnie za nim.

Radosław Krzyżowski w roli Mendozy płynnie przechodzi od charakterystycznego dla jego aktorskiego emploi namiętnego grania na granicy szarży po tragiczny smutek i wyciszenie. Oto postać, która poznała rozmiary katastrofy. Aktorskim fajerwerkiem jest kardynał Altamirano w brawurowej interpretacji Jana Peszka. Purpurat mający przesądzić o losach

Indian i opiekujących się nimi jezuitów w wykonaniu Peszka jest postacią pełną sprzeczności. Być może nawet chciałby pozytywnego rozwiązania sporu, ale zbyt mocno ugrzązł w intrygach, instytucjonalnych awansach, nazbyt wygodnie rozsiadł się na kardynalskim fotelu. Nie stać go na brawurę młokosa, który wierzy w ideały. Zawieszony pomiędzy truizmem a zgrywą, performance'em a solidnym dramatem kostiumowym, rozchwiany spektakl Bartosza Szydłowskiego według scenariusza Jolanty Janiczak mówi o nas więcej od niejednego polifonicznego oleodruku. Publiczność usadzona pomiędzy aktorami, w przestrzeni przypominającej busz, ale i wojskowe koszary, nie ogląda kostiumowego, robotniczego manifestu skrzywdzonych i poniżonych, zderzonego z odporną na upływ czasu siłą i wyrachowaniem hierarchów: kościelnych, politycznych, społecznych. Zmieniają się kostiumy i detale, ale sedno sporu jest przecież niezmiennie. Perwersyjna peruczka Altamirano to dzisiaj hipsterska wełniana czapka mile widziana na placu Szczepańskim i w okolicach, gwałtowność nawróconego grzesznika Mendozy przerabiamy codziennie na mielącym wszelkie wykroczenia celebrytów Pudelku, krnąbrność robotniczych ofiar stanowi zaś pożywkę dla tabloidów i telewizyjnego magazynu Elżbiety Jaworowicz. W "Kartotece" Różewicz pisał: "Czasy są niby duże, ludzie trochę mali". Coraz mniejsi ludzie w coraz większych czasach - niemożliwych do uchwycenia.

"Niedostosowani"
Łukasz Maciejewski